TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"	DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $1.00	W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50	Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 26. *Chicago, Ills., 23 Grudnia, 1886 r.* Rok III.

BOŻA OPIEKA

POWIEŚĆ

OSNUTA NA PODANIACH XVIII WIEKU

— PRZEZ —

J. I. KRASZEWSKIEGO.

Nil timet adversi, quem servat rector Olympi...

— Otóż tobie pociecha z tego nieszczęśliwego przybłędy, oto tobie pociecha — zawołał oburącz rwiąc się za siwe włosy gospodarz Hruzda, który wpadł do swej chaty i żonę zastał właśnie miesiącą chleb w dzieży. Jestto jak wiadomo jedna z tych chwil w życiu wiejskiej gospodyni, w których nawet głowa domu nie waży się zatrudnienia przerywać... Robota około chleba to prawie obrzęd uroczysty, nie cierpiący oka i wtrącania się profanów... Chleb, dar Boży miał zawsze u nas poszanowanie jak największe; upuszczony na ziemię, człowiek pobożny podnosił, ażeby go ludzie nogami nie deptali... kładziono go na stole chaty na czystym ręczniku jako oznakę błogosławieństwa Bożego w domu, a umarłemu bochanek na trumnę. Gdy gospodyni miesiła go i w piec kładła, nie godziło się jej przeszkadzać. Mimo to Hruzda wpadł do chaty i krzyczał od progu — Ot tobie pociecha! ot go masz, twojego głupiego Janka, już znowu zmalował coś... i bodaj że się wynosić będzie musiał.

— Co? co? co? — odwracając się spytała stara Hruzdzina — co ty tam już trąbisz a wy-

wołujesz na Janka? co ci zawinił? Tobie byle pruszynka, zaraz z niej zrobisz wołu... a dziecko — toć dziecko...

— Ale mnie on nie zrobił nic — rzekł Hruzda rzucając się na ławę — a no sobie piwa nawarzył. Zawsze mu potrzeba wleźć gdzieś tak, aby się z paniczem zetknął. Ten go do zabawy wyzywa, a głupi Janek nie potrafi jak inne dzieci rozpieszczonemu jedynakowi uledz, tylko jakby sam był pańskiem dzieckiem.

— A co ty wiesz, kto on jest? — spytała Hruzdzina.

— Et, co tobie w głowie? Co ma być takie dziecko co się go pozbywają a na cudze ręce dają, aby z oczu szedł, wielką rzeczą nie może być.. jakiś tam grzech ma na głowie, to też mu się nie wiedzie, a i drugim z nim.

— Otóż bajesz.. ot bajesz — przerwała Hruzdzina — Gdyby to prawda była, szczęściłoby mu się, a właśnie, że bieda z nim i koło niego, musi być poczciwie urodzony, tylko mu poczciwi krzywdę chcą uczynić.

— Babo, babo! — zawołał Hruzda — już ty siebie ani mnie nie durz.

— A no, cóż się stało? co? gadaj — ocierając ręce z ciasta i wołając dziewki, aby ją wyręczyła, rzekła Hruzdzina, która stała przed mężem w postaci sędziego indagującego. — Gdzież bo jest Janek?...

— Bodaj aby nie w rękach włodarza albo karbowego, bo go pochwycili do dworu... panicza pono trzasnął czy coś... Hruzdzina załamała ręce.

— A tyś go tak dał poprowadzić! — krzyknęła — i nie ujął się za dziecko, i nie ratował wychowańca! A toś bo już taki ciemięga...

— Dobraś ty ja mam pod bizuny iść za przybłędę? Co ja się mam za cudze dziecko ujmować?

— A może niewinny... a toć smarkacz! — wołała Hruzdzina — czyż się godzi dopuścić, aby go katowano!

— No to idź ty i wyrwij z ich rąk swojego faworyta, bo że ja nie pójdę, to pewna. — To mówiąc Hruzda dla tem większego przekonania żony zrzucił z siebie sukmanę i czapkę, siadł za stół, łokcie oba oparł na nim i zamilkł.

Nie wiele też myśląc stara pomruczała coś pod nosem, pokiwała głową, zarzuciła na ramiona przyodziewek i wyszła... W ulicy zaczynało zmierzchać, a był wieczór późnego lata, po świętej Annie, więc chłodnawy... Chmury dzienne układały się pasiasto do snu na widnokręgu.. W wiosce słychać było wrzawę dnia kończącego się, skrzypienie studzień, ryk bydła, otwieranie wrót powracających od robót w polu, i śmiechy dziewcząt idących z wodą do chat, i fujarki pastuszków... Chata Hruzdów stała w Prądniku niemal przedostatnia od dworu. Dwór naówczas był niezbyt odległy w starych olchach i lipach, a od wioski przedzielała go droga sadzona wierzbami... Hruzdzina wyszła za drugą chatę i spotkała parobka, który biegł ode dworu.

— Za czem bieżysz? — spytała...

— Jegomość kazał łozy naciąć...

— Na co? Pono waszego Janka rozumu uczyć będą — zaśmiał się parobek.

Hruzdzina chwyciła go za rękaw od sukmanki — Słuchaj Stach — szepnęła — dostaniesz sera i biały grosz odemnie, ino mi się z tą łozą nie spiesz. A gdzież dziecko poprowadzili? dokąd?

— A do dworu, włodarz za kołnierz pociągnął. Jegomość fuka i krzyczy, panicz płacze, termedye... Idźcie a spiesznie gosposiu... jeźli go ratować chcecie, bo inaczej to go wam srodze poturbują... Ja się zabawię... boć łozy dla samego pana trzeba naciąć porządnie i zgrabnie je związać w pęczek...

Zerknął szyderstwo parobek, a Hruzdzina choć stara nogi znalazłszy, do dworu pobiegła co żywo. Już przed dworskim parkanem i wrotami słychać było wrzawę i lamenty... a najwyższy głos samego pana, który fukał aż się rozlegało.

— Ja ci tu pokażę, ty byczy synu jakiś, wołał, żebyś ty mi śmiał chamską rękę na szlachecką krew podnieść. A to wam tu już kozaczyzna w głowie! hę! a no ja wam ją z niej wybiję, jak się patrzy... Ja cię nauczę, że póki życia nie zapomnisz... Rózeg łozy...

Na te odgróżki wpadła Hruzdzina właśnie.. Jegomość stał w ganku między słupkami, w białym kitlu, czapka na bakier, a lice mu się czerwieniło i siniało a tuż Jejmość na ławce siedząca tuliła szlochające chłopię swoje. Na środku podwórza włodarz za kołnierz od sukmany trzymał skulone chłopię, przy nim już i karbowy był na straży. Z poblizkiego folwarku co było dziewcząt i parobków, powysadzało głowy a niektórzy z za wałów wyglądali...

— Gdzie się zapodział Stach! prędzej łóz! — zakrzyczał Jegomość... Na te słowa stara Hruzdzina przypada i pominąwszy chłopca i włodarza wprost do pańskich nóg przyklękła..

— Mój dobry, łaskawy panie... miłosierdzia dla głupiego Janka... Nie wiem co zawinił; a no wszyscy we wsi wiedzą, że głupi... toż go głupim i zowią.

— A ja go wam rozumu nauczę, krzyczał stary — ja go nauczę! Idź ty mi babo precz... darmo będziesz wisiała u nóg, baty mu dać muszę i krwawe... A no wiesz co uczynił?

— Ja nic nie wiem; alež to głupie dziecko powtarzała Hruzdzina.

Wtem Janek, którego włodarz za kołnierz trzymał począł piskliwym głosem dziecięcym:

— Matuś moja jam nie głupi, ale mnie panicz pokrzywdził, tom mu oddał...

— Słyszysz go? słyszysz! wrzasnął szlachcic — Sam ci się do tego przyznaje... i śmie mówić... Łóz łóz!

— Na miłość Chrystusa pana, ojcze, panie! a toć przecie najlepszy dowód, że głupi — zawołała Hruzdzina — Czyżby rozumny śmiał sam na siebie świadczyć...

— A po co panicz do zabawy wyzywa? — piszczał Janek z pod rękawa włodarza szamocąc się, bo mu ten gębę chciał zatknąć — jam się przecie nie prosił! Dobra to zabawa.. nogami kopie i za włosy targa; a po co ja mam znosić...

— To nie może być — przerwała matka panicza z ganku — Antek tego nie mógł czynić! A choćby cię w zabawie potrącił nie mogłeś to ścierpieć? nie trzeba ci było przyjść na skargę do dworu? Tyś sobie sam zaraz musiał sprawiedliwość czynić!

— Abom ci to ja nadaremnie nie skarżył się? - - piszczał Janek... Jeszcze mnie ze dworu nogą kopnięto...

— Łóz! Łóz, na rany pańskie, łóz! Co tego Stacha nie widać... wołał pan... poszedł i utonął... pogańska wiara... Stara Hruzdzina rzuciła się jeszcze do nóg panu, lecz ten ją popchnął. — Idź babo do domu... Idź, abyś i ty co nie oberwała...

Gdy się to działo, Janek w ręku włodarza się szamotał, i znać niedaremnie. Trzymał urzędnik ów gospodarski za kołnierz sukmany, która była dobrze przestronną; chłopiec pono kręcąc się ręce z rękawów zawczasu powydobywał, a dobrze się rozglądał tylko, jakby najbezpieczniej drapnąć... Dziedzińczyk był niezbyt wielki przede dworkiem... z tyłu po za nim i włodarzem wrota stały na drogę otworem. Z przodu był dwór i płot od ogrodu, w lewo nieco opodal folwark, w prawo stajnie, koło folwarku czeladź zalegała, nie było więc sposobu tamtędy się wysunąć; od strony stajen nie było jakoś widać nikogo, a tuż gęste bzy i wiśniowy sadek graniczyły z polem... przez które bite rowy i strumienie łozą obrosłe dozwalały o zmroku szukać tam schronienia. Bystre oko głupiego Janka wszystko to postrzegło i znać rozrachowało; zmiarkował też, iż tu się litości już spodziewać nie było można. Czuł sam nieborak, że nabroił... jedyny ratunek zostawał w ucieczce na pozór prawie nie możliwej, ale dla śmiałka który już nic do stracenia nie miał, popróbować jej się godziło...

Jegomość jeszcze krzyczał: — Łóz! — a na drodze ode wsi widać już było Stacha, który na ramieniu niosąc rózgi z pozornym nadążał pospiechem; gdy w mgnieniu oka, najniespodziewaniej z ręki włodarza, w której została tylko sukmanka, wyśliznął się Janek, i nim ludzie obecni się opamiętali, szmorgnął w bzy po za stajnią. Co żyło, rzuciło się tedy za nim w pogoń... Łapaj, kto w Boga wierzy! — wołał pan załamując ręce...

Czy to, że chłopak był zręczny a nogi miał dobre, czy że ludzie litościwi dlań byli, czy pan Bóg tak jakoś zrządził — dosyć — dosyć że Janek jak w wodę wpadł, a gdy Stach z rózgami przyszedł, już bić nie było kogo.

Trudno odmalować wielki a słuszny gniew pański. Jegomość, Jejmość, pokrzywdzony panicz, włodarz, karbowy, czeladź, dziewczęta — wszystko to wypadło z krzykiem w środek dziedzińca, ale że niesłychanemu zuchwalstwu i śmiałości dziecka niepomiernie się dziwowano, łamiąc ręce i lamentując nad tą zgubioną duszą głupiego Janka który dla swojego dobra ochłostać się nie dał, winowajca drapnął tak, iż najskorszych nóg parobcy, zachęceni do tych łowów obietnicą kieliszka wódki, nawet śladu jego ani tropu nie znaleźli. Ale wieczór już był coraz późniejszy i w polu ciemniało, nie sposób go i szukać dalej było po rowach i zaroślinach...

Pan się w końcu opamiętał. — Dać pokój, krzyknął, znajdzie się ten truteń, czy dziś czy jutro, a co miał wziąść dziś dwadzieścia pięć,

dostanie czterdzieści... już że go nie minie, to nie minie... Stara Hruzdzina odchodzić miała ale pan w gniewie okrutnym zawołał ją nazad...

— Słuchaj stara — rzekł — ani mi się go nie waż ukrywać, bo i ty i twój i wszyscy, ile was w chacie jest, dostaniecie to, co mu się należało.. Jak się tylko okaże, natychmiast mi go związanego dostawić... Ja go nauczę, ja go na pańskie dziecko targać się nauczę!

Tak się skończyła o późnym mroku tragiczna ta historya głupiego Janka. Stara Hruzdzina, choć do koła słyszała powtarzanie: Co się przewlecze to nie uciecze! — w duszy rada była, że jej wychowaniec tak się zręcznie od pierwszego impetu pańskiego gniewu salwował. Znała naturę ludzką, że czas najzapamiętalszą sierdzistość uśmierza, i dziękowała Bogu, ufając jego przyszłej nad dziecięciem opiece. Szła tedy smutna powoli od dworu do chaty, a już prawie się i nocka była zrobiła, i ciemno zaczynało być, gdy na pół drogi w płotkach usłyszała szelest i z gęstwiny o mroku ujrzała białą twarzyczkę, a cichy przytłumiony głos ozwał się do niej: — Matuś, a tom ja!

Kobieta aż zadrżała przelękła, bo było tak jeszcze blizko wrót i podwórca, że mógł kto rozmowę posłyszeć; skinęła więc ręką niecierpliwie na chłopaka, aby się schował, a sama ciągnęła dalej; ale kilka ledwie krzaków uszła, szelest słysząc po za płotami i za sobą, gdy głowa znowu ukazała się po nad krzakami i Janek powtórzył: Matuś! a co mam czynić?

— Idź ino dalej, nie tu w gawędy się wdawać... To mówiąc przyspieszyła kroku stara. Około pierwszej chaty z za płotu wyskoczył Janek i przytulił się do niej...

— Cóżeś to narobił? co? znowu biada? — szepnęła Hruzdzina — a no już dziś nie żarty... Ruszaj pod gruszę na Bartosiowem polu, tam się rozmówimy. Tu jeszczeby nas zajrzeli... Trzeba radzić, ale nie na gościńcu, bo pochwycą.

Janek mknął zaraz, staruszka stanęła, pomyślała, westchnęła, przeżegnała się u krzyża i powolnym krokiem, miedzą i oglądając się po za siebie, czy kto za nią nie idzie, albo nie widzi, posunęła się między polem swojem a Bartosiowem ku gruszy...

Była to jedna z tych poważnych, starych dziczek, które od wieków rosnąc w polach służą zimą do rozpoznania się czasu zamieci, a latem gromadzą pod swym cieniem w upały obiadujących w polu. Bartosiowa grusza była prababką wszystkich w okolicy. Pień miała, co go we dwóch objąć trudno było, konary grube i rozłożyste, a choć je kijami jesienią zbijając dziczki uszkadzały chłopięta, odnawiała się tak, iż śladu corocznego męczeństwa nie zostawało. Chłopak do gruszy posunął się chyłkiem naprost przez pole, a żwawo i pierwszy stanął u niej. Dopiero w dobre ćwierć godziny przysunęła się stara Hruzdzina. Ciemno już było zupełnie na dworze, tylko od zachodu nieco świątlejsze niebo, poprzerzynane ciemnych chmur pasami, jaśniało. W polu ucichło, we wsi psy tylko chwilami naszczekiwały, a na górze na ciemnicy nocnej łyskała gdzie niegdzie blada gwiazdeczka; pod gruszą na małem kiłku darniny kilka kamieni leżało, na których ludzie siadywali. Siadła też zaraz na jednym z nich Hruzdzina, podparła się łokciami, i choć chłopak stał tuż przed nią, zrazu jakoś głosu z piersi dobyć nie mogła.

Janek przysiadł a raczej przypadł na ziemię naprzeciw niej i wzdychał, nie ważąc się też odzywać.

— Cóżeś to znów nabroił, co? — poczęła zwolna tęsknym głosem stara — niedobry chłopcze.

— Czekaj matuś, pozwólcie, powiem wszystko jak na spowiedzi... Jeźlim zgrzeszył, to nie wiele, Bóg widzi — łagodnie odrzekł Janek. Tak było: Szedłem ja z pola do domu od roboty, bom ci nie próżnował, a jeszcze się Jagusina krowa była zbiła z drogi i zabiegła w szkodę, tom jej pomógł podpędzić, aby nie złapali do dworu. Tylko com na gościniec podle dworu wstąpił, lecz panicz naprzeciw: — Chodź się bawić. — Zdjąłem czapkę jak należy i mówię: — Niech panicz przebaczy, na mnie nie do zabawy pora, bom zmęczony i w domu

robota jest. — Musisz ty łotrze — zawołał panicz — ja ci każę. Zaraz mi tu w rów, stań na czworakach, siądę na grzbiet i poganiać będę, pojadę na tobie. — Jeszcze czego nie stało? — rzekłem — toż panicz żartuje, albom to ja zwierzę, aby na mnie ludzie jeździli? Takim ja człek jak i panicz, nie przymierzając. — Mówiłem to w żartach, a co jemu się nie podobało. — Jak ty śmiesz gadać, zawołał, żeś ty taki człek jak ja? Jam pan, szlachcic — a tyś truteń, chamska krew, przybłęda jakiś. — Jeszczem ścierpiał i rzekłem mu:

— A toć Chrystus pan za nas wszystkich równo umierał, to nas przecie porównał. — A panicz nie słuchając dalej, jak mnie palnie... Inom się obejrzał, co chcecie, krew do głowy się rzuciła; jak go chwycę za czub, natarłem mu go dobrze... No i tyle; ten w płacz, i ze skargą. Tuż był włodarz, gumienny, karbowy, chwycili mnie zaraz; dziecko pobiegło do jegomości, zrobił się rwetes, lament, sądny dzień, a co potem, to już i sami wiecie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KAZIMIERZ I MAGDOSIA.

POWIEŚĆ

Z DZIEJÓW OJCZYSTYCH SIEDMNASTEGO STULECIA

—— PRZEZ ——

MIECZYSŁAWA Z POZNANIA.

(Ciąg dalszy.)

Stary Mateusz jednak nie dał się zbić z terminu i spokojnie odrzekł:

— Słusznie mówicie, że nie mamy pieniędzy, ale przy dobrych chęciach, zgodzie i wytrwałości nie trudno nam będzie zebrać potrzebne dwa albo i trzy tysiące złotych, a gdy je zbierzemy, pójdę z kim drugim pomiędzy Turki i Tatary, umiem trochę po turecku, bo blizko lat dwoje u nich przesiedziałem, i wykupię drogie nam osoby.

— Powiedzcież tylko mój Mateuszu — rzekł znowu Wojciech Łozina, — co robić żeby zebrać tak wielką sumę, bo mnie się to nie zdaje, wytłumaczcie nam jakim sposobem.

— Przedewszystkiem oszczędnością i pracą. — Jest u mnie 1000 złotych pańskiego mienia, które zdołałem ocalić wśród tatarskiego rabunku. Należą one do panicza, gdyż pana zamordowali, a pani nasza, jak powiada Magdosia, pewnie nie żyje. Wolno nam tych pieniędzy

użyć na oswobodzenie panicza... Lecz tysiąc złotych nie wystarczy, potrzeba jeszcze dwa razy tyle; a te już wy dać musicie..... Jest w naszej wiosce rodzin trzydzieści, a każda rodzina potrzebuje rok rocznie na piwo, miód lub gorzałkę przynajmniej 15 złotych, a są i tacy co więcej tracą. Wyrzeknijmy się wszyscy tych trunków, a każda rodzina oszczędzi przez jeden rok 15 złotych, czyli jak będzie oszczędzało 30 rodzin, to razem w jednym roku oszczędzą 30 razy 15 czyli 450 złotych. — Po roku więc będziemy mieli 1450 złotych, to już prawie połowa. Prócz tego mam ja mojego uciułanego grosza ze zasług też z 300 złotych, otóż za te 300 złotych kupimy żyta, obsiejem grunt pański, co od lat kilku leży odłogiem, a jeśli Bóg nam pobłogosławi, a żniwa będą obfite, to zbierzem za to owe 1500 złotych, których jeszcze nie dostaje. Omylą żniwa, to musimy poczekać i zbierać tak długo owe 450 złotych oszczędzonych na trunkach, aż zbierzemy potrzebną sumę. Lecz mili sąsiedzi potrzeba zgody, potrzeba koniecznie, byśmy się wszyscy wyrzekli gorzałki i wszelkich trunków prócz czystej wody. Przyrzekliście mi wszyscy posłuchać mej rady, teraz przyrzeknijcie raz jeszcze, że dotrzymacie słowa.

Nastała cisza w skromnej izbie Wojciecha, jakby w kościele, lecz niezadługo szmer jakiś powstał, jednakże nikt jawnie, głośno, nie przywtórzył Mateuszowi. Ośmielony tem milczeniem Franek Butelka rzekł:

Zestarzeliście się mój Mateuszu, a jeszcze głupstwa bajecie jak szpitalna baba. Wiadomo, że jak świat światem tak chłopu potrzeba wódki na wzmocnienie po pracy.

— Nie bzdurzyłbyś Frącek, — odrzekł Maciej, sąsiad Wojciecha, — dawniej nasze dziady i pradziady wódki nie znali, a żyli dłużej niż dzisiaj, chociaż więcej pracowali. Piwo bo zdrowsze nie tyle szkodzi, ale wysusza kieszeń; lecz wódka to oczywista trucizna, wymyślona przez djabła na zgubę człowieka.

— A pewnie, pewnie; — słusznie Maciej mówi, — powtórzyli sąsiedzi. Zawstydzony Frącek nie wiedział, co ma mówić, brzdąknął tylko pod nosem:

— Może i dobrze mówicie Macieju, ale powiedzcie, czemu, jak człowiek sobie podpije, to się rozgrzeje na żołądku, a cały jakby odmłodniał staje się weselszym?

— Ta i jaka to wesołość, — przerwał Mateusz, — tylko pobudza do kłótni i swarów. Widoczna w tem sprawa szatańska. Nie ma się też co namyślać, tylko wyrzec się raz na zawsze djabelskiego trunku.

Większa część obecnych kiwnęła głową na znak, że przystaje na zdanie Mateusza, tylko Franek i kilku jemu podobnych krzyczeli na całe gardło: „na to się nigdy nie zgodzimy!” Hałas powstał niezmierny, a po długich sporach przekonał wreszcie Mateusz, że bez wódki można się obejść, a zawstydzony Frącek, chociaż niechętnie zgodził się na to.

W końcu uradzono, aby jak najrychlej uprawić część pola pańskiego, którą mieli obsiać żytem kupionem za Mateuszowe 300 złotych, aby wszyscy przez trzy dni poszli pilnie popracować, kto ma konie lub woły z pługiem a inni z łopatami lub z motyką, by skopać ziemię jak w ogrodzie.

Już też i słońce zaszło, a ciemno się zrobiło w chacie Wojciecha, i narada się skończyła; we wzajemnej więc zgodzie wszyscy się rozeszli do domów. Frącek ciągnął innych do karczmy, by się z wódką pożegnać; lecz roztropniejsi rzekli:

— Wyrzekliśmy się wódki, piwa i miodu, to dotrzymajmy przyrzeczenia, a niechaj nikt się nie odważy złamać raz danego słowa.

Ominęli więc karczmę ku niezmiernemu zadziwieniu arędarza, a nazajutrz ze świtem zeszli się przy pracy na łanie. Mozolna to była robota, przez górą trzy lata nie ruszył nikt ziemi, deszcz zbił, słońce spiekło, i stwardła jak opoka; lecz Bóg zesłał drobny a gęsty deszczyk i trochę rozmiękła; jednakże nie jak myśleli trzy dni, lecz cały tydzień pracowali. — Oj! szczerą była ta praca, bo mieli urodzaj jak jeszcze nigdy, i zebrali więcej pieniędzy niż było potrzeba.

Dali też na mszą św. na intencyą podróży, i wyprawili Mateusza i starego Macieja po panicza do Konstantynopola i po Małgorzatę do Krymu. Już pół roku minęło a żadnego nie ma śladu, Wojciech i Magdosia codziennie wychodzą za wioskę na wzgórek, patrzą na wschód, czy nie widać wracających, lecz próżne czekanie, ani Mateusz ani Maciej, ani panicz, ani Małgorzata nie wracają! Dopiero pod koniec roku w dzień św. Michała, krótko przed słońca zachodem coś we wsi zaturkotało, i krzyk po-

wstał, a wszyscy cisną się z domów do wózka, na którym siedział Mateusz, Maciej i Małgorzata i jeszcze jakaś kobieta.

Jakże wam opiszę tę radość? Ileż tam było pytań, uścisków? Ileż łez radości wylano! Ile modlitw dziękczynnych zasłano do nieba! Dopiero po pierwszym szale radości z powrotu Małgorzaty, zapytano o Kazimierza.

— O kumowie drodzy, szukaliśmy panicza w sułtańskiej stolicy, lecz ani słychu o nim — jakiś poczciwy Turek powiedział nam dopiero, że panicza podarował sułtan swemu synowi aż do Azyi. Poszliśmy tedy aż tam, widzieliśmy panicza, zdrów, ale syn sułtana nie chciał go puścić od siebie za żadne skarby. Panicz płakał gdy nas zobaczył, lecz wrócić nie mógł; dopiero za lat trzy, mówił, może wrócę, bo wtedy syn sułtański ma iść na wojnę przeciw naszej Polsce. Ja pójdę z nim, a wtedy ucieknę — dzisiaj wy wracajcie do domu, pozdrówcie gromadę, a za te pieniądze wykupcie od Tatarów innych kilku jeńców. Tutaj nie siedźcie, bo wam pieniądze odbiorą, a was samych uduszą.... Bywajcie zdrowi, uściskajcie wszystkich, podziękujcie gromadzie za dobre chęci, może Bóg mi pozwoli wam za to się odwdzięczyć.

— I rozpłakał się panicz, — mówił Mateusz, — ucałował nas, a zawołany do swego pana musiał nas porzucić. Nam zaś rozkazał natychmiast wracać do domu. Musieliśmy usłuchać rozkazu, a idąc za radą panicza wykupiliśmy z niewoli oprócz Małgorzaty jeszcze troje innych osób. Jednę tutaj przywieźliśmy, a dwie inne, dwaj mężczyźni wrócili już do swych domów.

Chcieli poczciwi wieśniacy zatrzymać tę oswobodzoną kobietę wśród siebie, lecz ponieważ miała dzieci i męża, więc w kilka dni, odpocząwszy wśród serc życzliwych, w dalszą puściła się drogę.

IV. Co się działo w Polsce w czasie, w którym Kazimierz wrócił do ojczyzny.

Opuśćmy na chwilę spokojną wioskę i poczciwych jej mieszkańców, a zobaczmy, co się podówczas działe w Polsce. Jak to już nadmieniłem, panował podówczas Jan Kazimierz. Przez całe swoje panowanie musiał prowadzić wojny to z Moskalami, to ze Szwedami a nawet z Kozakami. Bo i oni, chociaż także się liczyli do Polski, podnieśli swą ostrą broń przeciw wspólnej ojczyźnie. Może mieli powody, ale przeciw swej braci nie powinni byli walczyć. Złe się stało; Bóg też ukarał niezgodę, a nie rychlej przebaczy aż się wszyscy znowu pogodzimy, aż Polacy i Rusini i Litwini i Ukraińcy złączą się w zgodzie bratniej miłości; aż się szczerze ukochamy, serdecznie uściśniemy dłoń bratnią.

Szczegółowo nie będę wam opisywał panowania Jana Kazimierza, bo i przykro przypominać błędy przodków, tyle tylko powiem, że wreszcie Polacy się upamiętali, że dzielny Stefan Czarniecki, książe Jerzy Lubomirski, ksiądz Kordecki i inni dobrym przykładem zagrzali męztwo w narodzie, że Kozacy się pogodzili z Polakami, i Polskę oczyścili całkiem z najezdniczych wojsk króla Szwedzkiego, księcia Siedmiogrodzkiego i cara Moskiewskiego. Po długich latach wojny odetchnął Jan Kazimierz; lecz wtedy podobało się Bogu nowym ciosem dotknąć nieszczęśliwego monarchę, umarła mu bowiem żona, którą on wielce kochał, i która z nim dzieliła złą dolę. Nieszczęśliwy król osamotniony, zmęczony panowaniem, zapragnął samotności; zaciężyła mu złota korona, blask tronu raził w oczy. Dnia 16 września r. 1668 zwołał panów szlachtę na sejm i oddał im koronę. Chciał ich pożegnać, lecz obfite łzy zalały mu oczy, a głośne łkanie głos zatamowało. Żaden z obecnych nie mógł się wstrzymać od płaczu, wszyscy prosili Jana Kazimierza, aby ich nie opuszczał, aby nadal królował, lecz daremnie; król swego postanowienia nie złamał.

W kilka tygodni wyjechał Jan Kazimierz do Francyi, wstąpił do zakonu, i tam jako opat św. Marcina w Niwersie umarł dnia 6 grudnia 1672 roku, głównie ze zmartwienia, że Turcy zajęli Kamieniec Podolski. Ciało jego sprowadzono do ziemi ojczystej i pochowano w Krakowie. Z nim też wymarł ród Jagiellonów w Polsce.

Po ustąpieniu Jana Kazimierza z tronu, zebrali się panowie, aby nowego króla obrać. W Polsce bowiem każdego nowego króla trzeba było obierać, nawet chociaż syn po ojcu nastąpić musiał wprzódy być obranym, a to

aby czasem jaki niedołęga nie dostał się na tron. Szkoda tylko, że nieprzyjaciele Polski umieli z tego korzystać, i podłych ludzi używali wtedy przy wyborach do robienia niezgód między Polakami, i ztąd to co było takiem dobrem prawem, na złe wyszło, bo wrogowie znajdowali sposobność do mącenia kraju.

Po Janie Kazimierzu, lubo wielu zagranicznych królów i książąt ubiegało się o koronę Polską, obrano Polaka. Nowo obranym królem był Michał książe Wiśniowiecki, syn tego księcia Jeremiasza Wiśniowieckiego, co w r. 1650 i nieraz później odbił Tatarom polskich jeńców co przez całe swe życie bił się z wrogami Polski, i w obronie ojczyzny utracił cały prawie majątek. Teraz Polacy, umiejąc cenić krew swych braci, syna jego królem obrali, i to dnia 22 maja 1669.

Krótkie panowanie łagodnego Michała Wiśniowieckiego przyćmione było także niepokojem. Roku 1670 wpadł sułtan turecki Mahomet IV. na Ukrainę i Podole; zdradą zajął miasto Kamieniec i wyruszył ku Lwowu. Skoro się o tem dowiedzieli mieszkańcy, wysłali posłów do sułtana, prosząc o pokój. Zgodził się sułtan na żądanie Lwowian i przyrzekł cofnąć się do Kamieńca, skoro mu zapłacą 7000 talarów. Radzi nie radzi mieszkańcy Lwowa co rychlej wysłali pieniądze a sułtan się cofnął. Pomimo tego panowie nie mogli się zgodzić, i zamiast uderzyć na wroga, z sobą się kłócili. Zhardzieli też Turcy i wymogli na Polakach, że podpisali haniebną ugodę, na mocy której Ukraina i część Podola z miastem Kamieniec zostały w ręku Turków, a nadto wolna Polska miała płacić Turkom rok rocznie 22,000 dukatów haraczu.

Na tak ciężkie warunki oprzytomnieli panowie, zaczęli się jednać i łączyć, aż wyruszyli na Turków. Sam król jechał na wojnę, lecz w drodze zachorował i umarł r. 1673 we Lwowie, zkąd zwłoki jego sprowadzono do Krakowa i pochowano w katedrze.

Wojska polskie tymczasem pod dowództwem Jana Sobieskiego walczyły z Turkami. Na drugi dzień po śmierci króla Michała przyszło do wielkiej bitwy pod Chocimem. Przeszło 60,000 Turków pobił tam na głowę nasz Sobieski, który naówczas był hetmanem, a zwyciężeni Turcy uciekali w nieładzie, zostawując Polakom cały obóz, wszelkie sprzęty, armaty i służbę obozową. — Między ostatnimi znajdował się i nasz Kazimierz Trentul.

Jak to już wiecie, sułtan podarował Kazimierza jednemu ze swych synów, teraz zaś syn sułtana idąc na wojnę przeciw Polsce, zabrał Kazimierza ze sobą. Dotychczas mimo usilnych starań nie mógł ujść z obozu, po kilka razy próbował, lecz został schwytanym i surowo ukaranym. Podczas bitwy Chocimskiej przyglądał się jej z daleka, modląc się w duchu o zwycięztwo dla Polski. Jakżeż się ucieszył, gdy zobaczył, że Turcy uciekają, a Polacy obóz zajęli.

Wystawcie sobie jego radość, gdy po tylu latach niewoli ujrzał się między swymi, gdy znowu usłyszał dźwięk mowy ojczystej! — Starzy, osiwiali w bojach żołnierze Polscy, obstąpili go kołem, wypytywali o szczegóły niewoli, o siłę wojsk tureckich itp. Śmiało lecz z należnem uszanowaniem dla starszych odpowiedział Kazimierz na wszystkie zapytania. Swojem opowiadaniem zjednał sobie Kazimierz wielu przyjaciół, mianowicie książe Lubomirski upodobał sobie Kazimierza tak, iż zabrał go do swego namiotu. Tam raz jeszcze szczegółowo musiał mu Kazimierz opowiedzieć przypadki niewoli, a gdy skończył rzekł mu książe Lubomirski:

— Nie masz jak się zdaje rodziców, ja i żona moja zastąpimy ci ich miejsce. Odtąd, skoro wrócimy do domu, razem z moim synem chować się będziesz, razem będziesz pobierał nauki i da Bóg razem będziecie służyli ojczyźnie.

Poczem zmówili razem pacierze, prześpiewali pieśń: „Kto się w opiekę podda Panu swemu”, bo ojcowie nasi i w obozach przestrzegali nabożeństwa, i udali się na spoczynek.

Nazajutrz puszczono się dalej za Turkami, ale że uciekającemu pilniej niż goniącemu więc ich dognać nie mogli. Koło wieczora przyszła wiadomość do hetmana o śmierci króla Michała. Zaledwie się wieść ta po obozie rozeszła zapomniano o Turkach, zaczęli się wszyscy rozjeżdżać i spieszyć do Warszawy, aby nowego króla obrać. Nie zważali na to, że Kamieniec pozostał w ręku Turków, który było trzeba im odebrać.

Razem z innymi wracał do domu Wielki hetman Sobieski i nowy opiekun Kazimierza Lubomirski. Nie spodziewał się Kazimierz że Wszechmocny wracającego z niewoli obdarzy

i matką — było to w trzecim tygodniu po odzyskaniu wolności w przejeździe przez wieś Sobiechwały, gdy nagle ogromna zerwała się burza, a że to już było pod wieczór, zatrzymał się Lubomirski prosząc dziedzica tejże wsi o gościnę.

Uprzejmy gospodarz pan Kralski, ucieszył się mocno gościom i w dom swój zaprosił. Po krótkiem przywitaniu, które się zaczęło od pochwalenia Imienia Pana Boga, rozpoczęto gawędkę. Żona pana Kralskiego tymczasem wyszła przyrządzić wieczerzę, a pan Kralski dobył z piwnicy gąsiorek miodu, z kredensu kilka pierników i trochę owoców przyniosła cioteczna siostra pani Kralskiej — i tak zakąsając, gwarzono o ostatniej wojnie. Pan Kralski wypytywał się o szczegóły wojny, które go mocno obchodziły, gdyż jako dobry Polak nie jedenkroć bronił ojczyzny, nie jednę bliznę odebrał w obronie Matki-Polski.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

GAWĘDZIARZ.

CYGANKA.

(Dokończenie.)

Wkrótce cygany podziękowawszy jeszcze raz gospodarzom, opuścili chałupę, zabierając z sobą cygankę, ale nie wyszło jeszcze i pół godziny, aż tu znowu skrzypnęły drzwi od chałupy i ukratkiem wsunęła się niemi ta sama cyganka, a zamknąwszy je czemprędzej za sobą na haczyk, wzięła Wojciecha i jego kobietę za ręce, posadziła pod piecem i rzekła stłumionym głosem:

— Wróciłam się do was moi poczciwi gospodarze, ażeby wam jedną bardzo ważną rzecz powiedzieć, a ona wam powinna przynieść nie mało zysku, ale na miłość Boga nie wydawajcie, że to odemnie wiecie. — Ksiądz w Zbuczynie o trzy mile ztąd, mówią ludzie że siedzi na ogromnych pieniądzach, wiedzą dobrze rabusie i w nocy z czwartku na piątek zrobią najazd na niego, z naszych tam nie będzie żaden — bandą tamtą dowodzi dezerter i będzie miał przynajmniej ze sześciu ludzi z sobą, trzeba więc żeby się ksiądz dobrze tej nocy obsadził, a wszystkich połapie — wy zaś mój gospodarzu, zabierajcie nogi za pas, idźcie do księdza i opowiedzcie mu to, a on was pewno dobrze nagrodzi.

Rzekłszy to, nie czekając odpowiedzi, czem prędzej uciekła z chałupy. — Wojciech prędko się naradził z swoją babą, nakazał jej żeby nikomu nic nie mówiła, a zarzuciwszy na siebie torbę z chlebem, udał się czemprędzej do Zbuczyna. Księdza właśnie zastał w domu, a kiedy mu rzecz całą opowiedział, kanonik mocno się nad tem zastanowił i podziękowawszy mu, tymczasem zatrzymał go u siebie, a cichaczem sprowadził z miasteczka żandarmów, ukrył ich

w stodole, światła kazał pogasić i tak czekał na przybycie rozbójników.

O samym północku pękły raptem odważone okiennice i siedmiu rabusiów znalazło się w pokoju, ksiądz wypalił z obydwóch luf z dubeltówki i nawet jednego powalił na ziemię ale reszta natychmiast obskoczyła go i przewróciwszy na ziemię, w mgnieniu oka powiązała.

Ale w tejże chwili cały dom został otoczony przez żandarmów, rabusie chcieli się ratować ucieczką, ale to już było niepodobieństwem, i wszyscy jak ptaki w potrzask zostali połapani.

Pomiędzy nimi ujęto i ich herszta, za którego złapanie naznaczone było od rządu 500 rubli nagrody. Ksiądz ze swej strony sowicie wynagrodziwszy Wojciecha, przedstawił go rządowi do nagrody za ujęcie herszta, którą, nie wyszło kilka tygodni, samemi rublami srebrnemi otrzymał.

Za wzięte pieniądze kupił sobie włókę ziemi i nie przestając chwalić jak dawniej Boga, chętnie niósł pomoc każdemu, nie patrząc na to czy on Polak, Żyd albo Niemiec.

(KONIEC.)

WORK ZIEMI.

Zamożny i bogaty dziedzic, dla powiększenia swego ogrodu wydarł sąsiadce, ubogiej wdowie, nie wielki kawałek gruntu, który stanowił całe jej utrzymanie. Nazajutrz, gdy zwiedzał nieprawnie zagarniętą rolę, nieszczęśliwa kobieta zbliżyła się do niego z pustym workiem przerzuconym przez ramię i płacząc prosiła:

— Zmiłuj się pan! pozwól mi z dziedzictwa moich przodków zabrać przynajmniej tyle ziemi, ile się zmieści w ten worek!

— Nie mogę odmówić twemu, aczkolwiek dziwnemu żądaniu — odpowiedział bogacz z pogardliwem uśmiechem.

Wdowa ukopała natychmiast trochę ziemi, a gdy już napełniła swój worek, rzekła:

Jeszcze o jednę łaskę błagam wielmożnego pana; oto, abyś mi raczył poddać ten worek na plecy.

Bogacz nie mający najmniejszej chęci trudzić się w ten sposób, odmówił z gniewem i szyderstwem, co jednak nie zraziło ubogiej wdowy, która ciągle powtarzała swoję prośbę, Nareszcie znudzony wydzierca, przystał na jej żądanie; ale nie przyzwyczajony do dźwigania ciężarów, zaledwie dotknął worka, zawołał:

— Nie! ja nie zdołam tego podnieść, to dla mnie za ciężkie!

Wtedy wdowa rzekła do niego śmiałym i uroczystym głosem:

— Panie! jeden worek tej ziemi jest za ciężki na twoje siły, a jakże zdołasz podźwignąć to całe pole, którem chcesz na wieki obciążyć twoje sumienie, a które nawet w tysiąc podobnych worków pomieścić się nie da!?

Przerażony temi słowami przywłaszczyciel, wrócił natychmiast dziedzictwo biednej wdowie, wyznał pokornie że się dopuścił niesprawiedliwości i za kilkodniowe cierpienie, hojnie wynagrodził pokrzywdzoną kobietę.

Lepiej z uczciwej pracy zbierać zysków mało,
Niż popełniać wydzierstwo; źle nabyte mienie
Jest największym ciężarem, bo przez wieczność całą,
Każda łza pokrzywdzonych, przygniata sumienie.

OJCIEC KAPUCYN

—— CZYLI ——

ZWYCIĘZTWO WIARY I MIŁOŚCI.

(Ciąg dalszy.)

— Nie taję się z tem, — rzekł na to Edward — iż mię takie zasady zadziwiają. Szczególnie dziwnem mi jest wyparcie się Wasze, Ojcze Archaniele, a to ztąd, żeście swe prawo do najwyższych w Państwie stopni znali dokładnie. Ród hrabiów Lesley należy do najsłynniejszych w Szkocyi familij. Teraz, niestety, na Was wygaśnie!.... Lecz może na tem nie tyle zależy. Radbym raczej wiedział, co Was spowodowało do stanu, w którym się sobie tak podobacie, gdy go tymczasem krewni Wasi za nieznośny i wzgardzony poczytują.

— W tym względzie — odpowiedział zakonnik, — mogę Was zaspokoić, mój Panie! A zaręczam Wam, iż we wszystkiem, co ze mną zaszło, wolę Bozką uznacie. Może i to zwierzenie się moje, doszedłszy przez Was do uszu matki mojej, onęż pocieszy i moc jej uprzedzeń, które na nią skutki tak szkodliwe wywierają.

Tu poszli obaj na poblizką w ogrodzie terasę i usiedli sobie na kamiennej ławce, stojącej w cieniu rozłożystego kasztanu. Poczem zaczął Archanioł jak następuje:

— Hrabia Lesley, świętej pamięci mój ojciec, rozkazał w testamencie swoim, że krótko przed skończonym rokiem dziesiątym pod dozorem wychowawcy do Paryża miałem zostać wysłany, a to dla pobierania tam nauk. Co do słowa wypełniła matka tę jego wolę. Jeszcze sobie wszystko przypominam, co do mnie przy pożegnaniu powiedziała:

— Mój synu — rzekła — dla dogodzenia życzeniu ojca nieboszczyka, jako też i memu, powinieneś się starać o nabycie wszystkich zalet serca, umysłu i powierzchowności. Nie wszystko to bywa połączone z wysokiem urodzeniem i bogactwem, jednakowoż spodziewam się tego po tobie, osobliwie że cię pod przewodnictwo godnego ze wszech miar nauczyciela oddaję. O, nie zbaczaj nigdy z dróg, przez niego tobie wskazanych, a zawsze będziesz dobrym i pilnym! Szczególnie zaś zachowaj swą purytańską wiarę. Pod tym tylko względem jesteś panem swej woli. Pielęgnuj więc wiarę swoję, jako najdroższy upominek mojej troskliwości. O, strzeż jej w swem sercu, abyś jej ustrzegł od szkody, abyś mógł stanąć przede mną bez obawy.

— To rzekłszy, uścisnęła mię matka serdecznie i oblała łzami obfitemi. I ja się rozczuliłem i płakałem z nią razem.

— Szczęśliwie przyjechawszy do Paryża, byłem posłuszny swemu nauczycielowi we wszystkiem, nigdy go na krok nie odstępując. Później uczęszczałem na poczytania do akademii. Wojny religijne, długi czas Francyą trapiące, ustały wreszcie, a dobrodziejstwa pokoju goiły za ojcowską starannością króla Henryka rany krajowe. Jednakowoż nie tak łatwo zapomniano roztyrek wojennych. Nawet po szkołach

pozostały stronnictwa, tak, że jeszcze każdy czuł swą przychylność lub odrazę do tej lub owej strony, że jeszcze każdy miał swych przyjaciół lub przeciwników. Jako cudzoziemiec do niczego się nie łączyłem, obcując jedynie z moim wychowawcą. Ubiegało się wprawdzie kilku kalwinistów o przyjaźń moją, lecz za łaską Bozką do żadnego się z nich przywiązać nie mogłem, i owszem stroniłem ich wszelkim sposobem. Poznawszy się na tem, przestali być dla mnie natrętnymi. Wkrótce potem zaznajomiłem się przypadkiem z dwoma akademikami, których towarzystwo i rozmowa bardzo mi się podobały. Byli to bracia tak uprzejmi, tak mili, że koniecznie z nimi obcować postanowiłem. Mój wychowawca w niczem mi się tu nie sprzeciwiał, czy to z tej przyczyny, że się przez taki związek większej dla mego wykształcenia korzyści spodziewał, czy też dla zyskania wolnego dla siebie czasu. Bądź, co bądź, nie obawiał się żadnych złych skutków, gdyż był o znakomitem urodzeniu i nienaganności obyczajów młodych tych akademików dostatecznie przekonany.

— Dzień w dzień chodziłem wraz z nimi do akademii, a po skończeniu prelekcyj chodziłem z nimi do mieszkania ich ojca, albo mię też oni do domu odprowadzali, gdzieśmy znów z sobą o różnych rozmawiali rzeczach. Tak to przepędzaliśmy wolne od nauk chwile, a zawsześmy się z sobą z trudnością tylko rozstawali. Czasem dotknęli tej lub owej prawdy wiary katolickiej, lecz ja, pomny przestróg swej matki i napomnień nauczyciela, nie dopuszczałem takich słów do serca i odpowiadałem na nie dosyć często tylko uśmiechem szyderskim. Dwaj ci młodzieńcy, którzy się za me przywiązanie najszczerszą przyjaźnią odpłacali, nie mając żadnej przed ojcem swoim tajemnicy, opowiadali mu wszystko, co tylko między nami zaszło. A że ich rodzic ubolewał nad błędnemi zasadami mej wiary i że pragnął, aby mój umysł światłem prawdy wiekuistej mógł być oświeconym, przykazał swym synom, aby za każdą sposobnością o istocie religii katolickiej rozmawiając, usiłowali zbijać uprzedzenia moje względem nauki, którą moja matka pogardliwie papizmem przezywała.

— Moi przyjaciele posiadali nie daleko od Paryża wioskę, przecudne mającą położenie. Tam-to często po kilka dni pobawiali, skoro to czas wolny od nauk pozwalał. Za każdą niemal razą zapraszali mię z sobą, abym i ja miał rozrywkę po pracy umysłowej. Kilka razy uczyniłem ich życzeniu zadosyć i pojechałem z nimi na wieś. Tam-to czekała na mnie łaska Boża. Tam-to najprzód miłosierdzia Bozkiego doznałem. Tam-to przyszedłem do przekonania, że nigdzie nie można lepiej rozmyślać, nigdzie się dokładniej nad sobą zastanawiać i skłonności, powołanie swe rozpoznawać, jak w ustroniu wiejskiej samotności. Uważałem się za najszczęśliwszego, kiedym się w oddaleniu od wrzasku i zgiełku miasta mógł bawić pięknościami przyrodzenia. Tak mi się pobyt na wsi podobał, iż sobie życzyłem całe życie tam przepędzać. Tu dopiero uczułem po raz pierwszy potrzebę używania przyjemności bez towarzystwa mych przyjaciół. Skoro z rana promienie słońca wszystko ożywiać zaczęły, pobiegłem do ogrodu i przechadzałem się wysokiemi ulicami klonów, gdzie święta panowała cisza, — albom też przebiegał cały szereg liściem obrosłych altanek. Zdawało mi się tam słyszeć Boga mówiącego do mnie szelestem listeczków i lekkim powiewem wietrzyku. Wszędzie czuło serce moje blizkość Wszechwiedzącego, a dusza moja zatopiła się w głębokiem rozmyślaniu. Nigdy jeszcze nie wszczęła się w łonie mojem chęć tak potężna, aby pojący dla czego też człowiek na świecie. Wtem przyszło mi wszystko na pamięć, co młodzi moi przyjaciele o katolickim kościele byli rozmawiali. Jako za pomocą Ducha świętego kapłani naukę Pana Jezusa jak najwierniej, tj. bez wszelkiej skazitelności aż do naszych czasów zachowali; jako jej bronili od drapieżnych napaści ludzi zarozumiałych; jako najzaciętsi przeciwnicy podchwytnemi nawet zarzutami wzruszyć jej nie mogli; jako wszystko, co się od niej wyłącza, jest słabe i niestałe, smutne i niepocieszające: to wszystko przypomniało mi się w owem wiejskiem ustroniu.

— Ważność przedmiotu i szczera chęć zbadania prawdy, stanowiącej najwyższe dobro człowieka, wywołały w mej duszy różne powątpiewania, które mię przerażając i dręcząc, zaspokojonemi byc chciały. Odtąd usiłowałem z własnego popędu zwracać każdą rozmowę z moimi przyjaciołmi na przedmiot jaki religijny, co też chętnie czynili. O ile to było w ich siłach, wykładali mi wszystko jak najgorliwiej. Ja zaś zważając na ich słowa starannie, jużem im się w niczem nie sprzeciwiał, jak to dawniej

w podobnych razach czyniłem, co ich zapewno obrażać i zasmucać musiało.

— Ojciec mych przyjaciół wiedząc wszystko, co się między nami działo, sądził, iż czas pomówić ze mną otwarcie. Pewnego dnia, gdyśmy sobie chodzili po obszernych ogrodach, wziął mię za rękę i poprowadził w cień wysokiego dębu. Po chwili przemówił do mnie w te słowa:

— Mój Panie! Dzięki Waszym zdolnościom i dobroci Waszego serca, zjednaliście sobie swemi zaletami szczególną przyjaźń mych synów. I ja się cieszę z Waszego do nas przywiązania. Nad jedną tylko ubolewam rzeczą, gdyż czasem ten tak miły stosunek zatruwa i zerwać go może na zawsze, a pewno zerwie na wieki, gdy się z tej ziemi do wieczności przeniesiemy. O Wasze uprzedzenia, wyssane niejako z piersi Waszej matki, sprzeciwiają się temu, w co ja i synowie jako w najważniejszą prawdę wierzymy. Nie tajno mi, iż się od niejakiego czasu chętniej przysłuchujecie objaśnieniom artykułów wiary naszej. A trzeba wam wiedzieć, że już przez ośmnaście wieków najsławniejsi uczeni, najwięksi mędrcy, najcnotliwsi nawet mężowie z duszą i ciałem należeli do kościoła, który Wy wraz z wielu innymi, bez przekonania się potępiacie i w ślepocie, zarozumiałości swojej źródłem niegodziwości i zabobonów nazywacie. Niesłuszne, krzywdzące są te obelgi i potwarze. Gdybyśmy jakie tajemne stanowili towarzystwo, gdyby nasze zasady były dopiero po długich doświadczeniach członkom wiadome, wtedyby prędzej można usprawiedliwić to płoche postępowanie sobie Wasze, ponieważ prawda i cnota nie potrzebują unikać światła słonecznego, nie potrzebują być ukrywane. Lecz wiara nasza ogłasza się już od tysiąc ośmiu set lat całemu światu. Każdy może jej prawdy poznać, skoro o to chodzi. Jest złożona w niezliczonych dziełach pisarzy kościelnych, brzmi głośno i wymownie z ust naszych kaznodziejów, żyje w świętych obrządkach nabożeństwa i sławi się sama w bogobojnem życiu wszystkich prawdziwych katolików, a nawet, jeśli tak rzekę, w kamieniach i ozdobach świątyń naszych. Kto ją chce poznać, ma do tego mnóstwo sposobności. A jednak nic nie tak obcem naszym przeciwnikom i nawet samym ich przywódzcom i zastępcom, — jak właśnie ona. Niewyczerpane są przeciw nam oskarzenia ze strony różnowierców, a przecie wiara nasza obchodzi tryumfalne zwycięztwa po całym świecie i uszlachetnia obyczaje i serca wszystkich, którzy ją dokładnie poznawszy zamiłowali. Wszystkich ona uświęca i uszczęśliwia. Chociażby tylko kilka z owych zarzutów przeciw naszej wierze było słusznych, wówczasby zasługiwali na wyszydzenie wszystkich ludzi i wolnoby było każdemu wszędzie nas poniżać i odwracać się od nas z wyrazem najdotkliwszej pogardy. Lecz nigdy to nastąpić nie może. Kto sobie zada pracy do zapoznania się ze zasadami świętej naszej wiary, — nie z książek i ust naszych nieprzyjaciół, ale z dzieł naszych pisarzy i kazań naszych kapłanów, — ten nie potrzebuje żadnych zaręczeń, że nasza religia wcale tego nie naucza, co nam przeciwnicy zarzucają. I zkądże pochodzi ta złośliwość, ta upartość w czerpaniu przewrotnych o nas wiadomości? Nie od nas, lecz od naszych nieprzyjaciół! O, tylko piekło znać jest tego sprawcą! Pomimo naszych najdobitniejszych zbijań, pomimo najgłośniejszych usiłowań w wykazaniu błędu, to przecie uszy kacerzy zamknięte, lecz na oszczerstwa o nas otwarte. Żądamy tylko, aby nas posłuchano. Wiemy bowiem, iż uznanie najwyższej prawdy tylko za pomocą Bozką nastąpić może.

— Nie myślę ja — rzekł dalej rodzic mych przyjaciół — namawiać Was do przyjęcia religii katolickiej, lecz proszę tylko o zgłębienie onejże i porównanie z artykułami innych wyznań. Rozum Wasz dosyć dojrzały i dosyć już zdolny do rozróżnienia prawdy od nieprawdy. A że Was takie dociekanie nie zniechęci, jestem dostatecznie pewny. Wszak podziwiając wszystkie te wspaniałości natury, prawicą Stwórcy na około porozsypywane, mimowolnie się tem zachwycacie. Nie miałyżby większe, świętsze piękności daleko bardziej Was zająć sobą? Jestże co na świecie, coby Was od takiego poszukiwania mogło wstrzymać?

Nie mogłem zaprzeć prawdy godnemu temu mężowi. Zmięszany i zawstydzony odpowiedziałem mu ze spuszczonemi ku ziemi oczyma:

— Posłuszeństwo i uszanowanie moje dla matki jest mi w tem największą, ba, niepokonaną przeszkodą.

— Prawda, — rzekł dalej do mnie — obawa Wasza, aby nie obrazić matki, musi Wam koniecznie przeszkadzać, że prawdy zgłębiać nie

chcecie; jest nawet powinnością syna uznawać zawisłość swoję od rodziców i pełnić obowiązki względem onych; — lecz skoro się przekonacie o mylności matki swojej w przedmiocie tak ważnym, że wszystko od niego zależy, — skoro Was sam Bóg za syna swego mieć pragnie i drogi Wam swoje wskazuje, któremi może kiedyś matkę swoję do uznania prawdy doprowadzicie: to nie tylko nie przestaniecie jej miłować, ale okażecie jej jeszcze miłość tak wielką, że większej człowiek człowiekowi udowodnić nie może. Rozważcie więc, młody przyjacielu, moje te słowa i bądźcie pewni pomocy Bozkiej, skoro się tylko łasce przenajświętszej sprzeciwiać nie będziecie!

— Tu ścisnął mię serdecznie za rękę i westchnął głęboko. Ja zaś odpowiedziałem mu, iż od czasu rozmów synów jego o katolickiej wierze większą część uprzedzeń, wpajanych we mnie od samego dzieciństwa, już zupełnie porzuciłem. Jednakowoż co się tyczy zmiany religii, chciałem się poprzednio nad tem dokładnie namyślić. Później miał się odemnie dowiedzieć, cobym uczynić postanowił.

— Nie jestem w stanie opisać Wam uczuć, które po rozmowie z sędziwym tym szlachcicem władały. Dusza moja czuła się nagle z grubej wyrwaną ciemności; czuła się nagle oświeconą światłem cudownem. Wyobrażałem sobie jak najżywiej boleść matki mojej z powodu nastąpić mogącej wzgardy wiarą mych przodków, — częstom sobie przypominał wszystkie nauki religii, słyszane z ust moich nauczycieli protestanckich; przecie żadna się utrzymać nie mogła w obec tego, co już o wierze katolickiej słyszałem. I próżnobym się silił na pokonanie tak potężnej prawdy, gdyż musiałem ją uznać za pochodzącą od samego Zbawiciela. Jej się sprzeciwiając, sprzeciwiałbym się był oczywiście samemu Bogu.

— Trudno mi było zataić przed wychowawcą stan mojej duszy, jednakowoż nic mu o tem nie wspomniałem. Nazajutrz poszedłem za zezwoleniem jego na przechadzkę z moimi dwoma przyjaciołmi. Będąc przymuszony do ukrywania się z memi uczuciami, znalazłem na wolnem powietrzu niejaką w sercu ulgę. Przypadkiem przechodziliśmy mimo kościoła. Przyjaciele moi, odgadując zapewne, co się we mnie działo, prosili mię, abym wraz z nimi wszedł do świątyni. Podczas ich gorących modłów i prawdziwego nabożeństwa, oddaliłem się od nich, tak, że tego wcale nie spostrzegli, i pobiegłem, sam nie wiedząc po co, ku wielkiemu ołtarzowi. Właśnie jakaś osoba od konfesyonału odchodziła. Spowiednik w onymże siedzący zakończył świętą swą czynność, jakto można było sądzić po braku ludzi w blizkości konfesyonału. Byłto sędziwy kapłan. Z rysów jego przemawiała łagodność i dobroć niewymowna, a oko jego ku niebu wzniesione zdawało się błagać Boga o miłosierdzie i wytrwałość dla tych, którzy, oczyściwszy się z grzechów swoich, szczerze się poprawić postanowili. Na ten widok zabłysła we mnie nagle myśl szczęśliwa.

— Ten starzec — rzekło coś do mnie — może cię z powątpiewań wyprowadzić!

— I zaraz przykląkłem do konfesyonału, nie aby się spowiadać, lecz jedynie na to, aby odkryć spowiednikowi stan duszy swojej. Łzy rzęsiste przerywały mi mowę. Na prośbę o wskazanie mi drogi do wydostania się z nieładu i natłoku mych uczuć, odpowiedział z łagodnością w te niby słowa:

— Mój Synu! Bóg, który Cię dotąd drogą swoją prowadził, aż Ci udzielił światła swego: tenże Bóg będzie Ci i nadal wskazywał drogę zbawienia, skoro tylko sam o to dbać zechcesz.

Proś Go więc o oświecenie Twej duszy, aby prawdę najświętszą poznała. Bez Bozkiej bowiem pomocy, bez łaski Bozkiej nic człowiek dobrego sam przez siebie uczynić nie zdolny. Kto zaś o nią błaga gorąco i wytrwale, pewno się nie zawiedzie! Prawda jedna tylko być może. A jeżeli sobie życzysz objaśnienia w niektórych rzeczach, przybądź jutro do mego mieszkania, tam ja ci na wszystko dokładnie odpowiem. Aby Cię zaś Pan Bóg, ten Dawca wszystkiego dobrego, tem prędzej łaską miłosierdzia swego obdarzył, zaślę i ja swe modły do Nieba.

— I poszedłem za radą czcigodnego kapłana. Na wieczór udałem się wcześniej, niż zwykle, do sypialnego pokoiku, gdzie się aż późno w noc modliłem. Nazajutrz czułem się jakby odrodzonym i pospieszyłem do onego spowiednika. Pomimo najgorętszych próśb o przyspieszenie godziny, gdziebym się mógł wyprzysiądz dawnych swoich uprzedzeń, nie chciał na to tak łatwo zezwolić. Doświadczał wprzód pewności mojej w religii katolickiej i doświadczał wprzód oraz sposobu mego myślenia.

— Pewną razu, gdy go znowu z łzawem okiem prosiłem o uskutecznienie mych życzeń, uścisnął mię serdecznie i rzekł z rozrzewnieniem:

— Dobrze, mój młody przyjacielu! Zasługujesz na to zupełnie. Widzę, że się szczerze chcesz na łono Kościoła ś. nawrócić. Widzę, że wiara Twoja z istotnego o prawdzie pochodzi przekonania. Bez moich zabiegów wybrałeś sobie cząstkę najlepszą. Sama prawda odniosła nad Tobą zwycięztwo. I prawda tylko może skruszyć pęta niedowiarstwa. Prawda Cię tylko może wyrwać z obłąkania. Ona tylko oświeca nasz umysł najczystszem światłem. Za jej tylko pomocą możemy widzieć rzeczywistą postać i istotę rzeczy. Ona tylko może natchnąć duszę miłością ku wszystkiemu, co jest niezawodnie piękne i dobre. Ona tylko posuwa nasze postępy, uszlachetnia i uszczęśliwia nasze serce. Ona sama przez się przemawia za sobą i trwa na wieki wieków i z źródłem swem razem, to jest ze Stwórcą świata. Prawda połączona z miłością to jest właśnie chrześciaństwo. A to chrześciaństwo rozwite najpiękniej i udoskonalone najwspanialej we wierze katolickiej. To ta wiara święta napawa najtrwalszem szczęściem, napawa nieopisanym spokojem sumienia, napawa wieczną, wiekuistą szczęśliwością!

— Wszystko, co tylko z prawdy pochodzi, oznajmia nam i upewnia nas, że owa najmędrsza, najświętsza i najdobrotliwsza Istota na to nas jedynie stworzyła i na to nam jedynie zesłała Syna swego Jezusa Chrystusa, abyśmy swoje zbawienie prawdziwie poznali; abyśmy w jego świętą naukę mocno, niewzruszenie wierzyli; abyśmy, zamiłowawszy się w niej i według niej żyjąc, żywot wieczny otrzymać mogli a tak bez końca tego uwielbiali, który jest Rządzcą i Zbawcą świata, który jest Bogiem! Ale możnaż poznać prawdę, możnaż niezachwianie zawierzyć prawdzie, możnaż prawdę polubić, możnaż żyć według niej, skoro tak niezliczone mnóstwo zewnętrznych i wewnętrznych błędów, skoro tyle pokus i pobudek do grzechu — niebezpieczeństwem zagraża?

— O, można! . Lecz trzeba rozważyć, że Jezus Chrystus, to słowo odwieczne, objawił nam prawdę prowadzącą do zbawienia, dał nam najpewniejsze środki do osiągnienia nieba, zapieczętował świętość nauki swojej śmiercią najokrutniejszą, wsławił ją cudownem swojem zmartwychwstaniem i zabezpieczył ją wraz przez obietnicę Ducha św. od wszelkiej skazitelności. Prawda jest tylko jedna na całym świecie. Gdzie różne zdania, tam są i mylności, tam się i błąd znajduje. Kościół zaś katolicki, postępując krok w krok za nauką objawionej wiary,— jest wszędzie i w każdej chwili już od tysiąc ośmiu set lat zawsze ten sam, nieodmienny. Nic stałością jego nie zachwieje, bo stoi na opoce, na skale, której i bałwany morskie, której nawet moc piekielna nie wzruszy. Nigdy on na włos od nauki swojej nie odstępuje. I to jest właśnie znakiem prawdziwej wiary. Każda bowiem zmiana jest dowodem niepewności wprawdzie lub uznaniem błędu, że się odtąd czegoś lepszego chce trzymać. I właśnie przekonanie o prawdziwości wiary katolickiej jest przyczyną, że nic w świecie nie może nakłonić Ojca św. i innych jej Stróżów, jej Opiekunów do skrzywienia prawd sobie od Boga powierzonych.

— Ale w jakimże świetle staną wszystkie inne tak nazwane sekty chrześciańskie?

— Częste zmiany wiary luterskiej, kalwińskiej i t. d. najgłośniejszymi są świadkami, jak mało te wiary prawdy niezłomnej posiadają. Więcej Ci w tym względzie powiedzieć nie widzę na teraz potrzeby. Dodaję tylko, żeś prawdę Wiary katolickiej ciągle zgłębiać powinien. A czyniąc to, zaczniesz do prawdziwego Kościoła coraz większego nabierać zaufania i tak mu zawierzysz, że sam będziesz chciał zostać prawowiernym jego synem, prawowiernym katolikiem.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

HISTORYA STANÓW ZJEDNOCZONYCH

OD ODKRYCIA AMERYKI, AŻ DO NASZYCH CZASOW.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ IX.

Wypadki przy ukończeniu wojny i wkrótce po niej. (1782—1789.)

Wróćmy się teraz do dalszych wypadków po zajęciu Yorktownu przez Amerykanów. — Jen. Greene ze swym oddziałem znajdował się jeszcze na pagórkach nad rzeką Santee, gdy w dniu 30 paźdz. 1781 odebrał wiadomość o owym wypadku. Wiadomość ta wywołała wielką radość nietylko w armii jego, ale i u wszystkich prawych patryotów w Carolinach.

Jen. St. Clair udał się natychmiast po odebraniu wiadomości do Wilmington, które to miasto był opuścił major Craig. Ten udał się na wyspę St. John w pobliżu Charleston. Amerykanie atoli nie zasypiali gruszek w popiele, póki nieprzyjaciel zajmował jeszcze główne miasta południowej Caroliny i Georgii. Marion uwijał się pomiędzy rzekami Cooper i Santee, główna armia Greenego zaś leżała w pobliżu rzeki Edisto, Wayne otoczył nieprzyjaciela w Savannah, podczas gdy Washington udał się do New Yorku, aby mieć pod okiem Clintona.

Walka na większą stopę ustała. Parlament angielski utraciwszy nadzieję w zwycięztwo, uchwalił zawieszenie broni i przesłał dowódzcom angielskim w Ameryce odnośne rozkazy. Jeneral Leslie, dowódzca w Charleston dowiedziawszy się o tem zaproponował jen. Greene poprzestanie kroków nieprzyjacielskich, prosząc zarazem, aby mu dozwolił zaopatrzyć swą armię w żywność. Gdy ten na to nie zezwolił, postanowił wystarać się przemocą o to, czego dobrocią nie mógł uzyskać. Zrobił wycieczkę, która się nie udała, gdyż jen. Gist jej zapobiegł.

W dniu 11 lipca opuścili Anglicy Savannah, a w dniu 14 grudnia Charleston. W New Yorku pozostali pod dowództwem Sir Carletona, następcy Clintona aż do 25 listopada 1783, gdyż ostateczne ustanowienie warunków pokoju do tego czasu się przeciągnęło.

Stany Zjednoczone wyznaczyły do prowadzenia rokowań pięciu komisarzy: John'a Adams, John'a Jay, Benjamina Franklin, Tomasza Jefferson i Henryka Laurens, którzy spotkawszy się w Paryżu z komisarzem angielskim Ryszardem Oswald, podpisali tam tymczasowy traktat pokoju. Francuzcy i angielscy komisarze podpisali także traktat pokoju w dniu 20 stycznia roku następnego. Kongres potwierdził traktat w kwietniu 1783, lecz rokowania trwały jeszcze aż do 3 września 1783, kiedy pokój ostatecznie w Paryżu zawarty został. Anglia uznała niepodległość Stanów Zjednoczonych, których granica miała dochodzić na północy aż do wielkich jezior na zachodzie aż do rzeki Mississippi. Amerykanie otrzymali także przywilej łowienia ryb nad wybrzeżem Nowej Fundlandyi. Florida została zwróconą Hiszpanii i t. d. Stany Zjednoczone wstąpiły więc w szereg wielkich mocarstw.

Wielkie dzieło było już ukończone, lecz pomimo wracającego pokoju pozostało wiele spraw jeszcze do załatwienia. Armia, która pozostała wierną wśród tak wielkich znojów i mozołów miała zostać rozpuszczoną a tysiące żołnierzy, pomiędzy nimi inwalidzi, mieli sobie poszukać pracy w kraju spustoszonym. Skarbiec był już dawno próżnym i dla tego nie otrzymywali ani oficerowie ani żołnierze żołdu. Wielu poczęło szemrać i przypisywało winę słabemu rządowi republikańskiemu. Byli nawet tacy, którzy marzyli o monarchii i zaproponowali Washingtonowi, aby się ogłosił królem.

(Dalszy ciąg nastąpi.)